



MARGINESY

B A R R Y L O P E Z

ARKTYCZNE MARZENIA

JEDNA Z NAJWSPANIALSZYCH KSIĄŻEK,

JAKĄ KIEDYKOLWIEK NAPISANO O DALEKIEJ PÓLNOCY.

„PUBLISHERS WEEKLY”

Krajobraz niesie ze sobą wrażenie absolutnego trwania. Nie jest wrogi. Po prostu tam jest – nietknięty, milczący i zamknięty w sobie. Jest bardzo samotny, ale ponieważ nie widać w nim żadnych śladów obecności człowieka, budzi się w nas poczucie, że rozumiemy tę krainę i możemy w niej znaleźć swoje miejsce.

Edmund Carpenter

Człowiek powinien raz w życiu skupić umysł na jakiejś zapamiętanej krainie. Powinien w swoim doświadczeniu zanurzyć się w jakiś konkretny krajobraz; obejrzeć go z możliwie wielu punktów widzenia, zagłębić się w niego myślą, poddać go refleksji.

Powinien sobie wyobrazić, że dotyka go własnymi dłońmi, o każdej porze roku, i wsłuchać się w powstające w nim dźwięki.

Powinien sobie wyobrazić żyjące w nim stworzenia i wszystkie najdrobniejsze poruszenia wiatru. Powinien przywołać z pamięci blask księżyca oraz barwy świtu i zmierzchu.

N. Scott Momaday

Od autora

Naukowe nazwy żyjących na Północy roślin i zwierząt oraz współrzędne miejsc opatrzonych nazwą geograficzną zostały podane w dodatkach. Informacje bibliograficzne znajdują się w tekście książki albo w przypisach, rozpoczynających się na stronie 497, oraz w odrębnej bibliografii na stronie 519, w zależności od tego, gdzie umieszczenie tych informacji wydawało się najodpowiedniejsze. Mapy zamieszczone w sekcji map są dokładne pod względem kartograficznym. Mapki znajdujące się w tekście są najczęściej uproszczonymi szkicami i nie zostały narysowane zgodnie ze skalą. Terminy eskimoskie, o ile nie zaznaczono inaczej, pochodzą z dialektów języka inuktitut, używanych we wschodnim rejonie kanadyjskiej Arktyki. Słowa eskimoskie, które weszły do powszechnego użytku, jak „igloo” czy „kajak”, nie są wyróżniane kursywą.

Przedmowa

U źródeł tej książki, oprócz szacunku dla samego krajobrazu, kryją się dwie chwile.

Pewnego letniego wieczoru rozłożyliśmy z przyjacielem obozowisko w zachodniej części Gór Brooksza na Alasce. Ze stoku wzgórza, gdzie rozbiliśmy namiot, rozciągał się widok na dziesiątki kilometrów kwadratowych pagórkowatej tundry wzdłuż południowego skrajów terenu cielenia się stad karibu z zachodniej Arktyki. Oprócz karibu i wilków, będących przedmiotem naszych zainteresowań, obserwowaliśmy także rosomaki, lisy rude, wiewiórki ziemne oraz ptaki, takie jak kulik mniejszy czy agresywny wydrzyk, podglądając je w różnych momentach ich życia, na ogół nieuchwytnego dla obserwatorów. Pewnej nocy z podziwem patrzyliśmy, jak młody niedźwiedź grizzly kilkakrotnie usiłował przejść obok rocznej wilczycy stojącej na straży gniazda ze szczeniętami. Niedźwiedź w końcu dał za wygraną i poszedł swoją drogą. Przyglądaliśmy się polowaniom puchacza śnieżnego i myszółowa włochatego oraz jak urzeczeni wlepialiśmy wzrok w stada karibu przesuwające się przez dolinę niczym dym.

Tamtego wieczoru właśnie – na wzgórzach Ilingnorak wiał lekki wiatr i było zimno, jednak późnowieczorne słońce, wielkością podobne do latawca na północnym niebie, emanowało energią, która sprawiała, że paliły mnie policzki – po raz pierwszy wybrałem się na samotną przechadzkę wśród ptaków zamieszkujących tundrę. Ponieważ budują gniazda na ziemi, są skrajnie narażone na niebezpieczeństwo. Spoglądałem z góry na samotnego górniczka zwyczajnego, nie większego od mojej dłoni. Ptak z żelazną siłą woli odwzajemniał moje spojrzenie. Chwilę później ujrzałem siewki złote. Niewielkie ptaszki wzbijały się

w powietrze i za pomocą histerycznych sztuczek – udawały, że mają złamane skrzydło – próbowały odwrócić moją uwagę od utkanych z trawy delikatnych miseczek, kryjących ich blade, ciemno nakrapiane jajka. Jajka jaśniały miękkim, czystym światłem, jak okno z obrazu Vermeera. Zdumiewałem się tym intensywnym, skupionym pięknem na rozległej powierzchni równiny. Idąc dalej, spotkałem poświerki zwyczajne, siedzące na gnieździe nieruchomo jak kamień. Ich czarne oczy rzucały połyskliwe promienie. Zatrzymałem się w pobliżu gniazda pary puchaczy. To znacznie potężniejsze ptaki niż siewki. Stałem bez ruchu. Dziki błysk w ich oczach przygasł. Jeden puchacz powoli usiadł z powrotem na trzech jajkach, roztaczając wokół siebie aurę jakiejś pierwotnej czujności. Drugi obserwował mnie uważnie i natychmiast starał się złowić moje spojrzenie, ilekroć próbowałem się poruszyć.

Podczas tych wieczornych spacerów poczułem, że na znak szacunku powinienem złożyć im pokłon. Skłoniłem się więc lekko z rękami w kieszeniach w stronę samych ptaków oraz świadectwa życia w ich gniazdach – z powodu ich płodności, niespodziewanej pośród tych pustkowi, oraz z powodu łagodnego arktycznego światła, które spływało na ziemię jak oddech.

Pamiętam dzikie, pełne poświęcenia życie ptaków spotkanych tego wieczoru, a także determinację, z jaką niewielkie stado karibu przekraczało rzekę Kokolik, zmierzając na północny zachód – incydent trwający zaledwie chwilę. Przeskakiwały przez wodę jak dzikie kaczki, wzbijając w górę, w stronę wieczornego słońca, bryzgi wody, którą potem strząsały z siebie na drugim brzegu, niczym ogromne psy otoczone chmurami kropelek połyskujących wokół nich jak ziarna miki.

Pamiętam dotyk światła na twarzy. Pełne energii brykanie cieląt wśród spokojnie pasących się karibu. A także ciepłą intensywność jajek wysiadywanych przez niestrudzone ptaki. Do tego momentu, może dlatego że słońce świeciło tu w środku nocy, co tak głęboko nie zgadzało się z moim nawykowym sposobem postrzegania świata, nigdy nie przyszło mi do głowy, jak łagodne potrafi być światło słońca. Jak wspaniałomyślne. Jak wiele może kryć się w nim współczucia dla krajiny, która w tak namacalny sposób manifestowała świadectwa stuleci panującej tu zimy.

Podczas tych letnich dni wśród wzgórz Ilingnorak żadnej nocy nie zapadała ciemność. Ciemności nie pojawiły się ani na moment. Na świat przychodziły ptaki. Dorastały, a potem odlatywały na południe w ślad za stadami karibu.

Druga chwila, którą mam na myśli, jest bardziej ulotna. Zdarzyła się pewnej nocy, gdy przejeżdżałem samochodem obok cmentarza w Kalamazoo w stanie Michigan. Wśród tamtejszych nagrobków znajduje się kamień oznaczający miejsce pochówku Edwarda Israela, nieśmiałego młodego człowieka, który w 1881 roku popłynął na północ z porucznikiem Adolphusem Greelym. Wraz ze swoimi ludźmi Greely założył wtedy obóz na Wyspie Ellesmere'a, siedemset dwadzieścia pięć kilometrów od bieguna północnego, i wiosną 1882 roku eksplorował okoliczne tereny. Ekspedycja ratunkowa, która miała dotrzeć do nich latem, zakończyła się niepowodzeniem, podobnie jak następna, podjęta rok później. Dwudziestopięciosobowa grupa Greely'ego wyruszyła więc w końcu na południe, z nadzieją, że po drodze spotkają wyprawę ratunkową zorganizowaną w 1884 roku. Przezimowali na przylądku Sabine na Wyspie Ellesmere'a, gdzie szesnastu z nich zmarło z powodu szkorbutu i wycieńczenia, jeden popełnił samobójstwo, a jednego stracono za kradzież żywności. Israel, astronom wyprawy, zmarł 27 maja 1884 roku, trzy tygodnie przed spotkaniem z kolejną wyprawą ratunkową, która wreszcie ich znalazła. Rozbitkowie wspominali go jako najsympatyczniejszego członka grupy.

Pamiętam, jak spoglądając tego wieczoru przez ciemne tylne okno samochodu, w gasnącym świetle patrzyłem na grób Israela. Jakie nadzieje nim kierowały? Co pragnął znaleźć? Jak sobie wyobrażał miejsce, które leżało przed nim tego jasnego ranka w czerwcu 1881 roku, gdy statek „Proteus” odbijał od nabrzeża portu Saint John's na Nowej Fundlandii?

Oczywiście nikt nie potrafi odpowiedzieć na te pytania. Israel poszedł za głosem wyobraźni i nawracających uporczywie obrazów Arktyki, podobnie jak przed nim John Davis i William Baffin, a po nim Robert Peary i Vilhjalmur Stefansson. Być może pragnął zapisać swoje imię w dziejach nauki, na moment wgrzyźć się w krajobraz dalekiej Północy, po czym wrócić do domu jak Darwin, by wieść osiadłe, kon-

templacyjne życie wśród pól południowego Michigan. A może chciał jedynie zmierzyć się z tym, co niezwykle. Możemy tylko wyobrazić sobie, że czegoś pragnął, spełnienia jakiegoś osobistego, prywatnego marzenia, dla którego był gotów poświęcić życie.

Israel został pochowany bardzo uroczyście i na jego pogrzebie rozbrzmiewały patriotyczne słowa. Na nagrobku czytamy:

ZA ŻYCIA PRAWDZIWE DZIECKO BOŻE
W CHWILI ŚMIERCI BOHATER

Te dwa zdarzenia często wracały do mnie w ciągu czterech albo pięciu lat podróży po Arktyce. Pierwsze, obraz promieni światła i chwil zawieszonych w czasie, przypominało mi o wzniosłej niewinności, o wewnętrznym pięknie niczym niezakłóconych relacji. Drugie, marzenie, które się nie ziściło, przypominało o długich, umysłowych i fizycznych zmaganiach człowieka starającego się dojść do ładu z daleką Północą. Podczas podróży doszedłem do przekonania, że ludzkie pragnienia i aspiracje są w takiej samej mierze częścią tej krainy jak wiatr, samotne zwierzęta, jasne pola kamieni czy płaszczyzna tundry. A także, że sama kraina istnieje całkiem niezależnie od tych stanów ludzkiego umysłu.

Krajobraz potrafi w zdumiewający sposób przekraczać wszelkie wyobrażenia, jakie snujemy na jego temat: bywa równie subtelny jak nasze domysły i nieustannie wymyka się naszym próbom zrozumienia; a mimo to jest poznawalny. Umysł ludzki, kierujący się ciekawością i poddający wszystkemu analizie, rozkłada krajobraz na elementy, po czym na powrót je skleja – ruch kwiatu na wietrze, barwę nocnego nieba, pomruki zwierzęcia – gdy staramy się zgłębić sekrety jego geografii. A jednocześnie umysł próbuje znaleźć w tym krajobrazie miejsce dla siebie, odkryć, w jaki sposób mógłby pozbyć się poczucia wyobcowania.

Konkretny rejon Arktyki, którym się zainteresowałem, rozciąga się od Cieśniny Beringa na zachodzie po Cieśninę Davisa na wschodzie. Obejmuje ogromne, jednolite połacie śniegu i lodu, które latem zamieniają się w równiny otwartych wód, a także osobliwy ocean, jakim jest tundra, płowa wyspa na tle nieba. Ale i tam można napotkać za-

mych piasków wyrastają nagle wydmy o wysokości trzydziestu metrów. We wschodniej Grenlandii znajduje się arktyczna oaza zwana Ziemią Królowej Luizy, dolina porośnięta dzikimi trawami i wielobarwnymi kwiatami rosnącymi wśród ścian grenlandzkiej pokrywy lodowej.

Ogólnie rzecz biorąc, rejon Arktyki ma w sobie klasyczne cechy krajobrazu pustyni: jest oszczędny, zrównoważony, rozległy i spokojny. Na Wyspach Królowej Elżbiety równiny dobrze osuszonej tundry i nisko położonych bagien, znane z obszarów leżących na południu, ustępują na rzecz rozległych połaci pokrytych żwirem i skałami poddanych erozji, dzięki czemu wrażenie pustyni staje się jeszcze bardziej dominujące. Na Ziemi Baffina, na Wyspie Ellesmere'a oraz na północy Alaski to wszechobecne wrażenie surowości pogłębiają jeszcze pasma arktycznych gór o ostrych szczytach, które wydają się odległe, nawet kiedy człowiek się wśród nich znajduje. Tę narzucającą się monotonię krajobrazu łagodzi jednak zmienność pogody oraz aktywność zwierząt, zwłaszcza ptaków i karibu. A ponieważ tak znaczna część tej krainy jest odsłonięta, a światło słoneczne, przenikając powietrze pozbawione pyłu, niezwykle wyostrza jej krawędzie, wydaje się, jakby zwierzęta znajdowały się tuż przed tobą. Ich obecność jest bardzo żywo odczuwalna.

Podobnie jak inne rodzaje krajobrazu, który początkowo wydaje się jałowy, arktyczna tundra potrafi się nagle otworzyć niczym korona kwiatu, jeśli tylko zaczniemy się do niej zbliżać. Człowiek dostrzega wtedy wśród monottonnych brązów traw porastających tundrę na przykład kropki jasnej czerwieni, pomarańcza albo zieleni. Pająk z rodziny pogońcowatych chwyta połyskliwego żuka. Wśród lawendowych kwiatów skalnicy leży nieporuszone pasmo wełny piżmowołu arktycznego. Gdy Alwin Pedersen, duński przyrodnik, po raz pierwszy przybył na północno-wschodnie wybrzeże Grenlandii, napisał: „Muszę przyznać, że ogarniają mnie dziwne uczucia na widok tej zapomnianej przez Boga kamiennej pustyni”. Zanim jednak stamtąd odpłynął, pisał o stadach piżmowołów pasących się na Ziemi Jamesona wśród bujnej zieleni, rosnącej wyżej niż głowy zwierząt, oraz o niezwykłym pięknie nunataków, wolnych od lodu skalnych wież przebijających plejstoceński bezruch grenlandzkiej powłoki lodowej. Kiedy się pochylam, aby

podnieść kość żebrową zająca polarnego, moim oczom, podobnie jak Pedersenowi, ukazuje się nieoczekiwany widok jedwabnego kokonu arktycznej gąsienicy.

Bogactwo biologicznych szczegółów życia rozprasza w tundrze wszelkie przypuszczenia, że ta kraina jest pusta, a jej podobieństwo do sceny kryje w sobie zapowiedź nadchodzących wydarzeń. Podczas letniej przechadzki przewiane wiatrem powietrze nabiera niebywałej przejrzystości. Co chwila dostrzegamy odizolowane, namacalne świadectwa życia: tropy zwierząt, niestrawione resztki pardwy w wypływie puchacza, kępę wierzby rosnącej wśród jałowych terenów, niemal oskubanej z liści przez zające polarne. Można liczyć na towarzystwo ptaków, które zawsze za tobą podążają. (Wiedzą, że jesteś zwierzęciem, więc prędzej czy później, dzięki tobie, znajdzie się coś do jedzenia). Przed tobą rozpierzchają się biegusy tundrowe, ptaszki z rodziny bekasowatych, wrzeszcząc *tuituek*, i tak właśnie nazywają je Eskimosi. Gdy nieporadnie schodzisz w dół kamiennego rumowiska na stoku wapiennego wzgórza pociętego przez erozję mrozową, twoje kroki wydają odgłos przypominający drżenie szkła – w oddali żyjący w tundrze grizzly podnosi się na tylne łapy, aby ci się przyjrzeć. Zamiera w postawie tak bardzo przypominającej człowieka, tak bardzo niepokojącej, gdy mocno zaokrąglone pazury jego przednich łap zastygają w śmiertelnym bezruchu.

Wzdłuż brzegów rzek, podmytych przez szybko płynące wody, zwłaszcza w zachodnim rejonie Arktyki, można się natknąć na kiel mamuta. Albo – we wschodnim rejonie Arktyki – znaleźć nienaruszony krąg, ułożony z kamieni używanych jakieś tysiąc pięćset lat temu przez myśliwego do przytrzymania skraju namiotu ze skór. Te dawne obozowiska kultury Dorset, rozmieszczone wzdłuż wybrzeży, którymi mieszkańcy Arktyki wędrowali przez cztery tysiąclecia, w poruszający sposób zwracają uwagę na odwieczną determinację rodzaju ludzkiego. Czasami podróżnik może natknąć się na bardziej imponujące, kamienne fundamenty dużych domów porzuconych w XII wieku przez ludzi należących do kultury Thule (zimne i suche arktyczne powietrze czasami zachowało, wliczając w to zapach, szczątki nerpy obrączkowanej, zabitej i zjedzonej przez nich osiemset lat temu). Częściej natykamy

się na pozostałości obozowisk z XX stulecia, artefakty znacznie mniej interesujące niż fragment obrobionej kości karibiu albo rzeźbionego drewna lub ponacinanej skóry zwierzęcej w obozowiskach z czasów kultury Dorset albo Thule. Jednak te współczesne wyroby – czerwone puszki po tytoniu Prince Albert, puszki po mleku Pet albo syropie klonowym Log Cabin – rozpadają się równie powoli. W obozowiskach najświeższej daty można znaleźć zużyte baterie do latarek, porzucone obok siebie jak odchody zwierzęcia, a także zdumiewające ilości łusek od amunicji do strzelb i sztucerów.

Podnosząc oczy znad tych znalezisk, niezależnie od epoki, z której pochodzą, rozglądamy się wokół siebie. W rozciągającej się jak okiem sięgnąć krainie nieomylnie wyczuwamy jakiś harmonijny autorytet, niezniszczalną siłę historii naturalnej, w obliczu których te obozowiska są jedynie drobnym elementem. Jednak te najnowsze świadectwa obecności człowieka są jakoś mgliście niepokojące. W żaden jasny sposób nie pochodzą stąd, z tej krainy. Ich roszczenie do bycia elementem historii naturalnej tego regionu wydaje się więc w jakimś sensie fałszywe.

Trudno dziś, podróżując przez Arktykę, nie odnotować wyraźnych świadectw niedawnych przemian. Przedmioty znajduwane we współczesnych obozowiskach rozsianych wzdłuż wybrzeży świadczą o nagłym pojawieniu się w tym regionie jakiejś cudzoziemskiej technologii – nowych narzędzi i nowego sposobu życia, jaki przyswajają sobie jej mieszkańcy. Początkowo podejmowane przez nich próby przystosowania się do nowych okoliczności były dość proste, jednak tempo przemian stale rośnie. Współcześnie oczekuje się od nich adaptacji, których skala budzi zdumienie. A wraz z nowymi narzędziami pojawiają się jeszcze bardziej skomplikowane zbiory przekonań. Rdzenna kultura tych terenów, od Wyspy Świętego Wawrzyńca po Grenlandię, podlega dziś procesom gwałtownej reorganizacji ekonomicznej, czemu towarzyszą przemiany społeczne niszczące jej wewnętrzną spójność. W niedawno opublikowanym artykule poświęconym mieszkańcom wyspy Nunivak jeden z badaczy pisał na przykład, że zmiany w diecie, związane z przejściem od dziczyzny do jedzenia kupowanego

w sklepach (czemu towarzyszą liczne komplikacje w zakresie żywienia oraz problemy społeczne), zachodzą tak szybko, że nie sposób ich precyzyjnie opisać. „W chwili, gdy ten artykuł ukaże się w druku – pisał – większość zawartych w nim informacji będzie miała jedynie wartość historyczną”.

Wraz z odkryciem w 1968 roku złóż ropy naftowej w Prudhoe Bay na Alasce w rejonie Arktyki pojawiły się także zmiany o charakterze przemysłowym: przecinający całą Alaskę rurociągi, którego długość, wraz z powstałym niedawno odgałęzieniem Kuparuk, wynosi tysiąc trzysta kilometrów; ośrodki wydobywania ropy naftowej na kanadyjskiej Wyspie Melville’a oraz na półwyspie Tuktoyaktuk; ogromne kopalnie cynku i ołowiu na północy Ziemi Baffina i na wyspie Little Cornwallis; setki kilometrów nowych dróg i coraz liczniejsze połączenia transportowe, lądowe, morskie i powietrzne. Ze względu na gwałtowną i zwykle nieprzewidywalną pogodę w tym regionie, skrajnie niskie temperatury oraz długie okresy ciemności, ogromną odległość od źródeł zaopatrzenia i problemy związane ze wznoszeniem stałych struktur na obszarze wiecznej zmarzliny (która topnieje i przesuwa się w niemożliwy do przewidzenia sposób) koszty tej działalności gospodarczej są astronomiczne – prawdę mówiąc, w Kanadzie nie sposób było nawet myśleć o ich rozpoczęciu bez ogromnego wsparcia ze strony rządu federalnego.

Kiedy się je ogląda jako porzucane daleko od siebie punkty i linie na mapie, te wszystkie niedawne, radykalne przemiany wydają się nie mieć większego znaczenia. Jednak ich długofalowe oddziaływanie na osiedla i miasteczka na Północy – wpływ, jaki wywierają na życie gospodarcze i społeczne oraz psychikę mieszkańców – jest bardzo silne. W dodatku ich powodzenie, choć często skromne i w niektórych przypadkach sztucznie wspomagane, zachęca do tworzenia kolejnych programów rozwoju gospodarczego w tym regionie*. Szczególnie obawy miejscowej ludności budzi rosnąca koncentracja władzy w rękach ludzi, którzy dysponują wprawdzie ogromnymi zasobami gospodarczymi, ale słabo orientują się w geografii regionu. Pewien człowiek

* Zestawienie specyficznych problemów dotyczących Arktyki można znaleźć w przypisie nr 1.

z Tuktoyaktuk, osady położonej u ujścia rzeki Mackenzie, opowiedział mi poruszającą historię. W latach pięćdziesiątych XX wieku regularnie podróżował wzdłuż wybrzeża na saniach ciągniętych przez psy. Kiedy obok jego zwyczajowej trasy wyrosła stacja radarowa wczesnego ostrzegania (DEW), postanowił się zatrzymać i zobaczyć, co to takiego. Wojskowi powitali go nie jako jednego z mieszkańców okolicy, ale jakąś postać rodem z bajkowych opowieści o Arktyce. Z niezwykłym zapalem karmili jego psy surowymi stekami. Za każdym razem, kiedy do nich zajeżdżał, klepali go po plecach i karmili jego psy stertami mięsa. Hojność żołnierzy wydawała się tak dziwaczna, a relacje, jakie z nimi nawiązał, tak nierealistyczne, że w końcu przestał do nich zaglądać. Niemniej jeszcze przez wiele miesięcy za każdym razem, gdy przemierzał tę trasę, miał ogromne kłopoty z zapanowaniem nad psami.

Kiedy się przejeżdża przez tamtejsze osiedla, a nawet przez tereny niezamieszkałe, nie sposób nie zauważyć świadectw gwałtownych przemian, a jednocześnie uniknąć dręczących myśli, jakie nieuchronnie nasuwają się na ich widok. Wywoływane przez nie przygnębienie – ponieważ tak wiele z tych posunięć wydaje się niczym nieuzasadnioną uzurpacją narzuconą tej krainie i jej mieszkańcom, brutalną inwazją – może doprowadzić człowieka do rozpacz. Podobnie jak każdy podróżnik przemierzający te tereny pogrążałem się w smętnych rozmyślaniach; jednak obecność samej krainy, siła, z jaką oddziałuje ona na nasze zmysły, najczęściej odrywała mnie od myśli o bieżących sprawach. Zastanawiałem się, co właściwie sprawiło, że poczułem potrzebę złożenia ukłonu przed górniczkim zwyczajnym? W jaki sposób ludzie wyobrażają sobie krajobrazy, w których się znaleźli? W jaki sposób sama kraina kształtuje wyobraźnię ludzi, którzy ją zamieszkują? W jaki sposób samo pragnienie, pragnienie, aby zrozumieć, kształtuje naszą wiedzę? Te pytania wydawały mi się znacznie poważniejsze niż bieżące problemy, ponieważ leżały u podstaw wszelkich rozmyślań na inne tematy.

Poszukując odpowiedzi, podróżowałem w towarzystwie ludzi różnego pokroju. Wraz z Eskimosami polowałem na narwale u północnych wybrzeży Ziemi Baffina i na morsy na Morzu Beringa. W gronie ekologów badających życie morza przemierzałem setki kilometrów

wybrzeży i akwenów przybrzeżnych. Wraz z malarzami pejzażystami podróżowałem od wyspy do wyspy Archipelagu Arktycznego. Przebywałem w towarzystwie twardych pracowników platform wiertniczych, szukających ropy naftowej wśród lodów Północy, porywistych wiatrów, w temperaturze minus trzydziestu stopni Celsjusza; oraz kosmopolitycznej załogi frachtowca płynącego wzdłuż zachodniego wybrzeża Grenlandii w stronę Przejścia Północno-Zachodniego. Każdy z nich postrzegał tę krainę inaczej – pozorną pustkę tundry rozciągającą się jak drżący miraż nad Oceanem Arktycznym; niebieskoczarną kopułę zimowego nieba, chłodne piękno ożywione migającymi gwiazdami; stada piżmowółów arktycznych skupiających się na szczycie wzgórza, aby bronić się przed napastnikiem, z długim włosiem zewnętrznej pokrywy futra wirującym wokół nich niczym pojedyncza ogromna fala ciemnej wody; żyłę rudy cynku i ołowiu, połyskującą jak mikroskopijne lusterka w wilgotnej mezozoicznej ścianie pod powierzchnią wyspy Little Cornwallis; zawodzenie i jęki zimowego lodu skuwającego ocean, gdy jego powłoka napinała się i przesuwiała w kryształowo przejrzystym powietrzu. Wszystko, czym jest ta kraina i jakie budzi skojarzenia, zarówno jej dosłowny sens, jak i metaforyczne odniesienia, wszystko to zawsze było i jest pojmowane rozmaicie.

W obliczu tak różnych poglądów przyszłość człowieka w tym północnym krajobrazie może należeć jedynie do sfery domysłów i właśnie tutaj natykamy się na marzenia, projekcje nadziei. To może być marzenie jednostki, choćby tak prywatne jak pragnienie, aby radosna determinacja ptaków gniazdujących w Arktyce natchnęła jakoś mieszkającego w oddali przyjaciela, znużonego życiem, albo wspaniałomyślne pragnienie, by jakaś konkretna informacja wydarta tej ziemi mogła posłużyć naszej społeczności – jednostkowe marzenia dające nadzieję, że nasze życie nie zostało strawione na marne. A także znacznie szersze marzenia całych ludów; to opowieść, która towarzyszy nam od tysięcy lat. Opowieść o determinacji i nadziei płynących z pytania: „Co uda nam się osiągnąć, jeśli pozwolimy, aby mądrość naszej przeszłości wywarła wpływ na naszą przyszłość?”. To opowieść o odwiecznej rozmowie; nie tylko o tej, jaką prowadzimy sami ze sobą, o tym, co zamierzamy i pragniemy zrobić, ale też o rozmowie z samą krainą – o naszej

zadumie i zdumieniu na widok burzy nad prerią albo postrzępionych grani łańcucha górskiego, albo stada kaczek, które nagle poderwały się do lotu z wód jeziora. Od czterdziestu tysięcy lat snujemy opowieść o tym, co my sami reprezentujemy w tej krainie. W sercu tej opowieści, jak sądzę, kryje się proste, zniewalające przekonanie: można żyć mądrze w tej krainie, a zarazem żyć dobrze. A kiedy postępujemy z szacunkiem wobec wszystkiego, co dana kraina sobą obejmuje, możemy sobie wyobrazić, że dławiąca ignorancja opuści nas na dobre.

Kiedy na dalekiej Północy przekraczamy linię drzew, zostawiamy za sobą włochatkę zwyczajną, która przyciska do piór na piersi zamarnięty łup, aby go rozmrozić. Rozciąga się przed nami otwarty, dziki krajobraz, czasem oznaczony na mapach za pomocą przykuwających uwagę, dziwacznych nazw: Lodowiec Brata Jana albo Przylądek Białej Chusteczki. Cieśnina Zarządu Marynarki Królewskiej, Wyspa Pluszowego Misia, Klify Zebry, Fiord Zręczności, Kanion Świętego Patryka, Zatoka Zagłodzenia. Eskimosi polują na nerpę obrączkowaną w rozległych zatokach przy brzegach Wysp Synów Duchowieństwa oraz Wysp Królewskiego Towarzystwa Astronomicznego.

To kraina, w której samoloty przelatują nad górami lodowymi wielkości Cleveland, a niedźwiedzie polarne spadają z nieba. To region, podobnie jak pustynia, bogaty w metaforyczne skojarzenia i zapowiedzi. Składając głęboki ukłon przed gniazdem górniczka zwyczajnego, możemy, jeszcze raz, postawić na szali życie, aby spełniło się nasze marzenie.

Ta książka jest jak literacka Cieśnina Beringa – ze wszystkich stron migruje przez nią całe bogactwo arktycznego życia. Lopeza czyta się w nieprzerwanym zachwycie; po pierwsze względem jego pisania, po drugie – tej planety i rządzących nią praw. Nie znam żadnego innego autora z tak wielkim sercem dla natury. Nic, tylko patrzeć mu przez ramię i słuchać. Wybitne!

ADAM ROBIŃSKI

Od wielu lat, odkąd wreszcie udało mi się tę książkę przeczytać, twierdzę, że to najlepsza pozycja o Arktyce, jaką miałem przyjemność poznać. Nie da się jej połknąć w jeden wieczór, choć trudno się od niej oderwać. Czytałem ją ponad rok, za każdym razem po kilkanaście stron. Nie potrafiłem szybciej i po każdej dawce musiałem trochę odpocząć, żeby to na spokojnie przetrwać. Barry Lopez zawsze zdaje się sięgać głębiej, dociekać uważniej niż inni autorzy. To książka pełna pięknej mądrości, a zdumionego czytelnika pochłania mnogość faktów i tajemnych więzi, które Lopez odkrywa i przedstawia tak, że nagle przyrodnicze, historyczne i filozoficzne splątanie północnego świata staje się oczywiste. To fantastyczna uczta i choć może trwać bardzo długo, to i tak czuje się żal, kiedy się kończy.

MIKOŁAJ GOLACHOWSKI

www.marginesy.com.pl



9 788366 335615

cena 49,90 zł
patronat medialny



lubimy czytać.pl

w marginesy także

